



## Stanisław Maślanka

część IV z IV

Sygnatura notacji: **N0003**  
Data urodzenia: **1.01.1924 r.**  
Data nagrania: **28.11.2006 r.**  
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Anna Teresa Pietraszek**  
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 57 min, część III: 60 min,**  
**Format nagrania: video** **część IV: 44 min**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Więc siedzę w tej celi śmierci. No, już nic się nowego nie dzieje. Ciągłe tam ktoś przyjeżdża, jakieś śledztwo prowadzili, ciągle tam coś ode mnie chcą. Pytają się to, owo, tamto, dziesiąte, ale to już żadnego znaczenia nie ma. Nagle w dzień otwierają się, Maślanka, pakować się. Wyraz „pakować się”, jak kogoś zabierają na wykonanie wyroku, jemu się nie każą pakować. On wszystko, co wziął, koce i tak dalej, co podpisywał, wszystko to zostaje. Koledzy mówili: Jedziesz w transport. Ułaskawienie, nie podpisywałem, nie mam podpisanego ułaskawienia. Rzeczywiście zapakowali w transport, przywieźli mnie do Rawicza. Tam mnie w Rawiczu przyjęli, nawymyślali, nie powiem, żeby mnie ktoś tam uderzył, ale, o, popatrzył w dokumenty, o, to ty szpion, chociaż takiego oskarżenia nie miałem, ale tak widocznie ten oddziaływał ten wyraz polubił, że tak widocznie wszystkich nazywał.

**Anna Teresa Pietraszek:** A kiedy to było?

**Stanisław Maślanka:** Proszę panią, to już był rok... W 1950 zostałem aresztowany, rozprawa była koniec 1950, to był rok 1951. 1951 i to było już ciepło, lato. Latem, 1951 roku. Nie potrafię powie... W każdym bądź razie było ciepło. I dają mnie na tak zwany biały pawilon, który był taki gorszy od tego drugiego czerwonego i tam na parter, który był taki troszkę jakby w ziemi, tam na pojedynek, siedzę sam. Zimno jak lichy. Wyprowadzają na spacer z tych pojedynek, bo tam takich pojedynekarzy, nazwijmy ich, było więcej. Kazali tam zrobić ileś tam tych kótek, nie wiem, ile to trwał ten spacer, pięć czy dziesięć minut. W tej chwili nie potrafię powiedzieć. I z powrotem do celi. No i tak w tej celi, jak długo byłem, też nie potrafię powiedzieć. Dwa tygodnie czy trzy tygodnie. Nagle zabierają mnie na pierwsze piętro. Co się stało? Dojechało wiele transportów i nie mieli miejsca. I z tych pojedynek wszędzie porobili w takiej celi,

bo to w tym pawilonie białym to były takie cele, ja nie wiem, czy wszystkie pojedynki na jednego człowieka, a nas siedzieli, a siedzieli zwykle sześciu. To wpakowali mnie do takiej celi i okazuje się, że ten, co obok mnie spacerował... Obok mnie leży ksiądz Śmietana, no to śmieliśmy się, że jest Maślanka i Śmietana. No i tak w tej celi siedzę, ale zacząłem chorować, bo byłem i przeziębiony, i tego, a dostać się do szpitala więziennego było bardzo ciężko, ale siedział z nami też taki wyjątkowy wypadek, fałszerz pieniędzy. Drukował czy jakieś robił pieniądze. W owym czasie to była niesłychanie rzadka rzecz, ale na wszelki wypadek zamknęli go w takim więzieniu jak Rawicz. To przedwojenny kryminalista, więc on tam umiał jakoś rozmawiać z tymi oddziałowymi. W końcu jakoś tam jednego namówił i przyprowadził mnie lekarza. Lekarz, więzień. Lekarz więzień, prawda? No i ten mnie zabrał do tego szpitala. Oczywiście w szpitalu nie ma miejsca, to dwa łóżka się zsuwało i trzeci jakoś tam zsypanem, dopóki kogoś tam nie zabrali i nie dostałem całego łóżka. Oczywiście temperatura, prześwietlenie, bo prześwietlenie też było. Chodził lekarz z wolności, ale taki nieciekawym typ, właściwie jego leczenie to tam prawie żadne. Wszystko robili koledzy więźniowie. No i siedzę w tej celi i zaczynam chorować. Więc ponieważ to był oddział gruźliczy, więc oddział gruźliczy miał specjalną dietę taką odżywczą. Tam czasami troszeczkę mięsa jakiegoś było, więc dają nam taki krupnik, cholera, śmierdzi, śmierdzące mięso. Nikt nie chce jeść. Wszyscy zaczęli to wylewać. Przyszedł ten więzień, który to rozdawał, dowiedział się, poleciał, oddziałowemu powiedział się. No i się zaczęła awantura. Bunt więźniów. Jezu kochany, co to się działo. Mnie chorego wyrzucili na pawilon czerwony. Na pawilonie czerwonym siedzieli więźniowie w jakiś sposób chorzy, nie taki, że zaraźliwy czy jakiś, czy coś, czy jakieś tam większe leczenie, ale w każdym bądź razie nie całkiem zdrowi, to taka była troszkę izba chorych, powiedzmy. Dali mnie tam, zamknęli mnie tam w celi. Trafiał akurat ksiądz Fertak, tutaj spod Warszawy, z Mrozów. Nie znałem go przedtem. Później w tej celi razem spaliliśmy pod kocem, to tego, to chyba pół roku albo nawet i miesiąc. Więc siedzieli nas tam... Aha, te cele były troszkę większe. Jakie cele były w tym białym pawilonie, jak mnie przywieźli? Tak jak ja mówiłem, w ten sposób tu łokciem, a to tym, tej szerokości, bo to był pojedynki i jedno odkładane łożo. Oczywiście na nim nikt nie spał. Spało się po trzech, tu trzech i tu trzech, głowami do środka i tego, na jeden bok, żeby się wszyscy zmieścili. W ten sposób sypialiśmy i tego. A na tym czerwonym już były troszkę lepsze warunki. Cele troszkę większe, cele chyba dwuosobowe, czy coś. W każdym bądź razie już nie tak ciasno. Oczywiście nie na żadnych łóżkach, nie na żadnych nic, tylko w dalszym... jak myśmy tam spali, no, też chyba na jakichś siennikach. Ale przychodzi zima, mróz, a tam okno taka szyba, okno jest większe, ale jedna szyba takie i nie ma jej. A to mróz piętnaście stopni. I my tak w tym śpimy. Przychodzi taki nasz więzień sanitariusz. Po tej całej awanturze z tym śmierdzącym krupnikiem przychodzi i pyta się mnie o taką rzecz. On cieszył się bardzo niedobrą opinią. Nie będę podawał nazwiska, bo to, ja wiem... Taką opinię miał trudną, ale że... a podobno pan jest z Wrocławia. Ja mówię, tak. Mówi, proszę pana, czy zna pan ulicę Nowowiejską? Ja mówię, bardzo dobrze, bo tam zaraz obok mieszkałem. Proszę pana, taki dom, taki ten, na rogu jakiejś ulicy, który on miał numer? Pytam się: A po co pan? No, bo tam mam znajomych, znajomych czy rodzinę, chcę do nich napisać, ale nie pamiętam numeru. Ja mu to podałem, bo faktycznie, to co pamiętałem, myślę, no jak pyta się, czy to śledztwo, czy nie, wszystko jedno co, podałem mu prawdę i już, bo o nikogo się tam nie pytał, żadnych nazwisk nie podawał, dokładnie numeru mieszkania też nie wiedział, ale wiedział tylko, jemu chodziło, żeby znać numer domu. Widocznie myślał, jak tam dojdzie, będzie jakieś nazwisko, to tam listonosz będzie wiedział, komu oddać czy coś. No i on pyta się: Co z tobą? Ja mówię: No, widzisz, co ze mną. Czekaj, zobaczymy coś. Poszedł, na trzeci dzień mnie zabierają. Zabrali mnie znowuż na oddział gruźliczy dalej. Tylko już w innej celi, nie w tej, co poprzednio siedzieli, tylko na górze taka jeszcze gorsza cela była umarłaków i ja tam siedzę, ale zaczyna mi się dziać niedobrze z ręką. Po tym wszystkim, śledztwie

i tak dalej, i tego, po tej gruźlicy co stwierdzili przez rentgen, robi mi się tu gruźlica kości, o, tak jak panie widzą. Tu robi się ropień. No, więc ja to tam zgłosiłem, przychodzą, oglądają, co my tu możemy zrobić. Nic nie możemy zrobić. Napisali wniosek do Wronek. Trzeba trafu, że napisali wniosek do Wronek i odwożą mnie do Wronek. Aha, po pół roku siedzenia w Rawiczu, po pół roku, wołają mnie i każą podpisać ułaskawienie z sądu. Po pół roku. Więc ja cały czas siedzę pod karą śmierci we Wronkach. Pytam się tych, słuchajcie, wykonywali tu wyroki? Oczywiście, że wykonywali. To co oni mnie tu przywieźli i trzymają jeszcze po coś? Mówi, kto go wie. Ja mówię, słuchajcie, co tu się dzieje. Rano zawsze o godzinie piątej rano słycać klap, klap, klap, klap, jak jakiś powóz wjeżdża i jedzie. No i mówi, nie wiesz, co jedzie? Wywożą umarlaka. Po prostu swoją śmiercią ludzie umierali i tak szybko rano ładowali na trumnę konną i to wywozili na cmentarz, i tam chowali normalnie do grobu. Tam zmarł też... Ja akurat przyszedłem jakoś w parę dni później, ten socjalista Pużak. Nie spotkałem się z nim, ale on tam zmarł. Więc jak mnie przywieźli do Wronek, najciekawsze było, to oczywiście powitanie tych oddziałowych, to wymyślanie i tego, ale nie dotknął żaden mnie, czemu, żeby mnie, bo to wszystko chorzy połamali i do szpitala. Do szpitala na dział chirurgiczny. Wchodzę na ten dział chirurgiczny, przy stoliku siedzi pan starszy, siwy, z tego widać, że... poznałem, że to więzień, ja podchodzę, on się pyta: Nazwisko? Ja mówię: Maślanka Stanisław. On tak drgnął, popatrzył na mnie: Czy ma pan brata? Ja mówię: Miałem. A czy on miał Ryszard na imię? Ja mówię: Tak. Okazuje się, że mój brat w Zwierzyńcu, bo to był lekarz ze Zwierzyńca, bardzo znany zresztą w tamtym, pisarz, bardzo znana osobistość z Zamojszczyzny. Nie miał własnych dzieci, miał na wychowaniu syna. I tego syna aresztowali i na nim wyrok wykonali. I mój brat coś tam miał wspólnego z tym, już nie pamiętam, co to było, bo to wszystko działo się w Zwierzyńcu. No to już myślę, dobrze, mam już jednego znajomego. Za chwilę patrzę, drugi wchodzi w białym fartuchu, patrzy na mnie, ja tak na niego patrzę, a on się mnie, a co ty tu robisz? A ja mówię do niego, a ty co tu robisz? Okazuje się, że to kolega z Wrocławia. Student medycyny, wieloletni więzień Oświęcimia. Był gdzieś później w obozie, z Oświęcimia go wywieźli do Niemiec, tam wyzwolenie jakieś, ocalał, tam zaczął jakąś medycynę, przyjechał do kraju, no, jakoś do tego kraju wszyscy ciągną. We Wrocławiu coś tam na te studia chodził i wiadomo, tak czepiali się tak byle czego, byle co, w każdym bądź razie, jego zamknęli też i on się znalazł tam w tym, później we Wronkach. Popatrzył na to, mówi: O, cholera, kiepsko, streptomycyna potrzebna. Ja mówię: Skąd ja ci streptomycynę przyznam, jak powiem w domu, to by może kupili, ale nie przyjmą. Poczekaj, pomyślimy. Poszedł, pomyślał, nie od razu, nie dzień, nie dwa, później przychodzi, mówi, pokaż rękę. Wyjmuje strzykawkę, wstrzykuje mnie tutaj wszędzie z boku. Ja mówię: Skąd masz streptomycynę? A co się pytasz, nie pytaj się. To są popłuczyny. Okazuje się, że poleciał na górę, a na górze był oddział gruźlicy. Jak to zwykle wszędzie różne są chody, nie wiadomo skąd, a tam siedział z kolei Jurek Woźniak. Też z Wrocławia, ten Woźniak, który był kierownikiem urzędu do spraw kombatanów. Był w zarządzie głównym w tym, tam siedział. Coś pokombinowali, i tę streptomycynę mi przynieśli, Niby popłuczynę, zaczęli mi to dawać i to zaczęło mi się goić. Ręka trochę krzywa, ale władna, może mniej, nie mogę za długo pisać, bo mnie palce bolą, ale władna. Mogę nawet coś nieść, tak że nie ciężarów i w ten sposób uratowali mi rękę. Koledzy. No więc siedzę w tych Wronkach, w końcu jak mi się to zagoiło, zrobili mi gips, mówi, słuchaj, Jasio mówi, słuchaj, dłużej ja cię nie mogę trzymać tu na chirurgii, bo zresztą lekarz wojskowy, który tam przyjeżdżał, robił operację, bo takie też były we Wronkach, bo to był szpital prawdziwy, obsługa wszystko przez lekarzy więźniów, a lekarzem takim więziennym był stary jakiś, no, nie stary, jakiś oficer. On tam nigdy się nie pokazywał, co go tam obchodziło. Więc ci więźniowie mieli sporo luzu. Więc jak ten Jasio zobaczył, mówi, czekaj, ja ci tu kogoś przyprowadzę. Zawołał mnie do takiego pokoiku, gdzie miał te lampy do nagrzewania. Ja tam siedzę, patrzę, wchodzi mój przyjaciel, który też siedział. Posłał kartkę, oddziałowemu dał, że on się

leczy na naświetlania. No, oddziałowy jak dostaje kartkę ze szpitala, mimo że to więzień pisał, to oni byli przyzwyczajeni, że to lekarze więzień. Zawołał go na te naświetlenia. Wystarczyło parę minut, żebyśmy się przywitani, opowiedzieli tam o sobie, jak i co, i tego, i poszedł. I tak znowuż mówię, to przynajmniej w tych Wronkach to mam znajomych. No i tak siedzę i siedzę, przyjeżdżają do mnie na widzenie. W końcu ten Jasio założył mi gips, to znaczy, nie na okrągło cały, tylko taką tutaj jakby miseczkę, jakby taką, ja wiem, matrycę, w ten sposób gips od palców do końca, do łokcia i tu wszystko zawinięte bandażem. Tak że chodzi o to, żeby ta ręka nie ruszała się, tylko jak najdłużej, żeby to się, bo to się wszystko goiło. No i tak się zagoiło, jak państwo tu widzą. W końcu są jakoś imieniny tego Jasia. Uśmiejcie się państwo. Ja mówię, Jasiu, co to jest? Mówię: Twoje imieniny, nawet nic nie stawiasz na te imieniny? On się popatrzył na mnie, mówi: Wiesz, ty masz dobry pomysł. Poleciał. Zgadnijcie państwo, co on przyniósł. W aptece było akurat żelazo. A żelazo było robione na spirytusie. I to sporo tego spirytusu tam było. No, tośmy to żelazo wypili, to co, ten słoik tego lekarstwa, żelaza to był niewiele, bo to się łyżką piło niewiele, ale tam był jeszcze jeden Wilniuk, kilku nas tam było. Raz, dwa trzy, cztery, czterech albo pięciu w tej celi lekarskiej. No i tak było. Nagle nie ma Jasia. Co się stało? A zabrali gdzieś go do innego szpitala. Ja mówię, szkoda Jasia. Zawsze to inaczej, jak się ma znajomego. A mnie w tym czasie przenieśli na jeszcze jeden taki odrębny pawilon, gdzie tam rzeczywiście, bo to tak, główny pawilon, to siedzieli więźniowie, którzy musieli siedzieć. W jednym pawilonie byli więźniowie pracujący, a w trzecim pawilonie, w celi Róży Luksemburg i w innych miejscach siedzieli ci chorzy. No, tacy co mieli gruźlicę, przeszli czy coś. W jakiś sposób taka izba chorych. No i ja tam byłem. No, ale tam znowuż podpadłem, bo był ten, oddziałowy straszny świnia. Ja tam na spacerze coś gadałem. Wziął, zamknął mnie na pojedynek. No z tym gipsem i tym wszystkim, to wielkie trudności. To siedziałem na tej pojedynce, nie pamiętam ile, skorzystałem tylko z tyle, że... bo tam jakiś pokazał się bibliotekarz. Ja mówię, co ty masz, co ty mi możesz dać? Oj, ja ci przyniosę, takie pismo wychodziło „Problemy”. Nie wiem, czy pań... No, tam są duże wszystko, to nie sprawy polityczne, tylko wszystko takie ciekawości naukowe, nazwijmy je. To ja to wszystko czytałem i maszerowałem po tej celi, bo najwięcej miejsca tak chyba do domu, do Chełma zaszedłem, i nie wiem trzy czy pięć razy, bo wyliczyłem, ile ja godzin dziennie spaceruję i przeliczyłem to w kilometry. No, przychodzi rok 1956. Strasznie się więzienie przerzedziło. Masy ludzi w tym wychodzi. Ja siedzę w dalszym ciągu. Rodzina pisze tam podania i tak dalej, ale nic nie pomaga i zbliża się koniec roku. Już więźniów takich politycznych nie ma. Siedzą tylko folksdojczy, jeszcze tam jacyś tacy i zaczynają zwozić tych kryminalnych. Mnie zamknęli z takim jednym kryminalnym, ale to nieważne. Przyjeżdża ojciec na widzenie, później mówi: Jak będę wracał, wstąpię do prokuratora. Wstępuje do łodzi do prokuratora, oczywiście dojścia do prokuratora nie ma, jest sekretarka, więc ojciec mówi, że jest taki i taki w więzieniu. A nie, inaczej mówię. Jest sprawa Maślanki Stanisława. My tu składamy wielokrotnie podania o zwolnienie i nie jest rozpatrywana. A ona mówi: Proszę pana, no jak może być rozpatrywana, jak pański syn uciekł. Jak ojciec się zdenerwował, jak krzyknie, a pani widziała, jak on uciekał? Aż wyleciał ten prokurator i pyta: Co się tu dzieje? Ojciec mówi: Panie, co ta pani głupotę wygaduje, że sprawa nie może być rozpatrzona, bo syn uciekł. Mówi, ja jadę teraz, przed chwilą miałem widzenie z synem. Jadę od niego z widzenia. Dobrze, dobrze, niech pan się uspokoi, niech pan napisze oświadczenie. Prokuratorowi oświadczenie, że był u mnie na widzeniu. Tak jakby, on w każdej telefonicznie mógł sprawdzić. No, ale po to, żeby tak ojca uspokoić, to tak mówił. No i obiecał, że tak, teraz rozpatrzy. Ojciec mówi, naobiecował, ale to nie bardzo mu wierzyłem. Za jakieś dwa tygodnie: Maślanka, pakuj się. Jednakże poskutkowało i faktycznie kto tę adnotację zrobił, jak, nie wiadomo. W aktach wronkowskich było napisane: Uciekł z więzienia. Teraz ja byłem we Wronkach, ciekawe jak oni w tych aktach popatrzyli, jak oni mnie zwolnili, jak mogli zwolnić kogoś, kto uciekł. Spra-

wa nierozwiązana. Nie wiadomo co. Ale widocznie stwierdzili, że uciekł, no to jest to, a przyszło zwolnienie od prokuratora, no to wzięli, mnie wypuścili. Wychodzę, wypuścili w takiej popołudniowej porze, wychodzę, idę do kasy, dają pieniądze, bo pieniądze rodzina przesyłała, to miałem. Kupuję bilet, nie umiem policzyć pieniędzy. To były nowe pieniądze, co innego, ale to czy nowe, czy stare, to nominały mają. Nie potrafiłem policzyć pieniędzy. Ta kasjerka od razu widziała, kto to jest, bo zaraz widzi, że to jest więzień. Wzięła ode mnie pieniądze, wypisała mi bilet, popatrzyła na rozkład, mówi: Proszę pana, ten pociąg odchodzi teraz, tutaj za pół godziny czy za ile, w Warszawie jest pan o tej godzinie, o godzinie pierwszej w nocy czy której ma pan drugi pociąg ze Wschodniego już prosto do Chełma. to ja siadam w tych Wronkach, jak wsiadłem, no, tam się ludzie patrzą. Od razu się pośmiali, wiedzą ludzie z wyglądu, że to taki niecodzienny wygląd, bo z tego ubrania, co ja miałem, to właściwie chyba nic nie pozostało, więc dali mi wszystkie takie zbierane resztki, co gdzieś ktoś zostawił i tak byłem trochę ubrany na wariata. No i tego, i jadę, przyjeżdżam do Warszawy. No, rzeczywiście czasu jest sporo. Myślę, co ja tu będę siedział. Idę piechotą z głównego dworca, jeszcze wtedy był, piechotą idę na Wschodni. Przeszedłem całą Warszawę. Akurat jeszcze czasu miałem tam pół godziny czy ile, wsiadam do tego pociągu i tam miałem z tym Świdorskim przygodę i tak przyjechałem do Chełma. To było 8 grudnia, 1956 roku na święto Matki Boskiej Niepokalanej Poczęcia. Tak jest 8 grudnia?

**Anna Teresa Pietraszek:** 1956 czy 1957?

**Stanisław Maślanka:** 1956, tak. No i tego. Przyjeżdżam do Chełma, no więc radość wielka i tak dalej. Poszedłem tam do tych lekarzy, popatrzyli i tak, i co dalej robić. No, mówi, tu się goi, to jest w porządku. Płuca, no, mówi, w porządku, więc właściwie nic takiego w tej chwili nie będziemy robić. Niech to zostanie. No więc co trzeba, to tam rodzice kupują, bo się muszę ubrać, jak to najpotrzebniejsze rzeczy. Wychodzę, spotykam kolegę z lasu, a to chodź, to pójdziemy, będziemy kupować i tego. No i wracamy do domu. Nagle przychodzi dzielnicowy. Podjeżdża samochodem dzielnicowy. Aha, i przyjechałem, zameldowałem się, tak jak potrzeba w milicji i wszystko pokazałem dokumenty, przychodzi dzielnicowy: A, proszę pana, mało tego, zaczyna się plątać, musimy jechać do Urzędu Bezpieczeństwa. Ja mówię, zaczyna się. Zabierają mnie tam, no i takie głupoty. Ja mówię: Słuchajcie, ja jestem chory, wam nie wolno mnie chorego trzymać. Pomogło dużo. 48 godzin mieli prawo trzymać i tak mnie trzymali. Wstawili mi jakiegoś kapusia do tego, który tam głupoty jakieś opowiadał, coś tego, nie bardzo wiadomo, co on chciał. W końcu po 48 godzinach mnie wypuścili. Ja przychodzę do domu, no i mówię tak, no to się zaczyna. Ja tu w Chełmie nie mam co mieszkać, bo tu jest dziura. Tu każdy milicjant będzie mnie znał, wszyscy będą mnie znali, gdzie pójdę do jakiej pracy, nawet jak dostaną tę pracę, wprowadzie w tej chwili jeszcze nie bardzo mogę, to tego, ja to będę na świeczniku, na widelcu, do kolegów. A koledzy mówią, słuchaj, nie ma rady. W Warszawie takich jak ty to jest tysiące. Zginiesz w tłumie. No, to ja przyjechałem do Warszawy, to już był rok 1957. I tam akurat był taki, zrobili taki nieoficjalny zjazd żołnierzy dwudziestej siódmej. Tak po cichutku ciekawy zjazd, bo przewodniczącym ZBoWiD-u był Rusinek. Taki pisarz i tak dalej, i on tak zgodził się, no, przyjeździe, to nie będzie zjazd, to takie spotkanie. Jak już nadszedł ten dzień, odwołać wszystkich nie wolno. Ktoś z UB się dowiedział i tego, widocznie na Rusinka wsiadł i kazał odwołać. Nie pomogło. Już każdy miał powiadomienia, przyjechał. Zebrało się nas wtedy, nie pamiętam ile. Może sto. No, spotkałem wielu znajomych, a oni mówią, no, oczywiście, że nie ma co. Jeden kolega, który został dyrektorem instytutu tele i radio-technicznego na Ratuszowej, mówi, słuchaj chłopie, przychodź do mnie, pracę od jutra masz. Mówi, mieszkania ci nie dam, bo takich możliwości ja nie mam. Kolega mówi, dobrze, ponocujesz trochę u mnie, trochę u innego, czy coś.

Aż się jakoś usamodzielnisz. Przyszedłem do tego instytutu, trzeba przyznać, że w tym instytucie byłem do emerytury. Do emerytury, bo towarzystwo... Tam oczywiście miałem opiekuna, który tam wszystko, co ja, robili. Jak tylko był jakiś napad na bank, a było ich dwa, to mnie zaraz wzywali. Ale to najciekawiej, wzywali mnie i pyta się, proszę pana, taki Maślanka, nie Stanisław, tylko jakiś tam inny, w Poznaniu. Czy to pański kuzyn? Ja mówię, nie mam takiego kuzyna. I tam jeszcze takie głupoty się wypytuje, a tu siedzi, stoi takie pięć czy sześć biurek i tam siedzą faceci i widzę, że przewracają kartki. No, po co? Po to, żeby spojrzeć, czy to czasami nie ten robił napad na bank. Później drugi raz na drugi bank gdzieś tam był też, nie na Marszałkowskiej, tylko ta poprzeczna. A, wszystko jedno, jak ona się tam nazywa. Głos: Wojska Polskiego.

**Stanisław Maślanka:** Co?

Głos: Wojska Polskiego.

**Stanisław Maślanka:** Nie, nie, nie, tam przy Marszałkowskiej albo za Placem Komunii, albo przedtem, tam, gdzie leci pod spodem... Pierwszej Armii? Nie, nie Pierwszej Armii.

Głosy: Armii Ludowej.

**Stanisław Maślanka:** No właśnie. To też mnie od razu wołali i tego, i sprawdzali w pracy, czy ja wtedy wychodziłem, czy nie, więc cały czas mnie obserwowali. Zresztą mnie to wcale nie dziwiło, że będę obserwowany. To zresztą normalna rzecz, ale za w pracy nie miałem żadnych przykrości. Ci wszyscy naukowcy nawet jak byli partyjni, to żeby dostać jakąś pracę w sensie naukowym, żeby rozpocząć, bo to i fundusz potrzebny, i tego, no to jak nie był partyjny, to było ciężko. I najlepiej jak się zaczęły te strajki. W którym to roku te strajki się zaczęły? Solidarność i te strajki.

**Anna Teresa Pietraszek:** 1980.

**Stanisław Maślanka:** Wszyscy w kokardkach, wszyscy strajkują. Ja pracowałem cały czas w zaopatrzeniu. Wychodzę też na korytarz, bo tu się na korytarzu strajkowało, patrzę i ten, stoi sekretarz partii. Ja się go pytam: Panie inżynierze, pan też tutaj? Patrzę, z tymi też strajkuje? A on mówi do mnie tak: Proszę pana, ja idę tam, gdzie idzie naród. I widzę, że idzie cały naród, ja jestem zawsze z narodem. Mądrze odpowiedział. Zresztą bardzo porządny człowiek, więc... A ja dokładnie wiedziałem, jakie tam są stosunki, żeby wielu z nich właśnie dlatego, żeby dostać temat na jakieś badania, to tego, to musiał się zapisać do partii. W końcu ja tam pracuję, ale warunki się stawiały coraz gorsze, ponieważ ja prowadziłem gospodarkę materiałową i magazyny, i nie było ludzi. Za dużo kłopotów na to. Koledzy mówią, słuchaj, idź na wcześniejszą emeryturę, nie czekaj ty jeszcze pięć lat. Ja mówię, no tak, ale to trzeba należeć do ZBoWiD-u Oj, głupi jesteś, mówi tam, ZBoWiD. Chodź, zrobimy ciebie zbawidowcem i tego, i zaprowadzili mnie, dali te oświadczenia, że jestem kombatanem i w porządku. Zaniósłem to i rzeczywiście. Obeszło się bez tych 5 lat, do 65 lat.

**Anna Teresa Pietraszek:** A czy miał pan ciągle jakieś problemy ze zdrowiem, czy to się skończyło?

**Stanisław Maślanka:** Proszę panią, w zasadzie nie. Chodziłem, oczywiście na te kontrolne to ja chodziłem, najlepsza



to była ta lekarz, no, zakładowa. Zawsze przychodziłem, ona mnie słuchała, mówi: Panie, co pan z tym sercem ma? Oj, ja mówię, stare serce, ale tego. Ciągle jej się moje serce nie podobało, ale tak jak do tej pory, co zajdę do lekarza, żadnemu lekarzowi się moje serce nie podoba. Ale jakoś żyję.

**Anna Teresa Pietraszek:** A jakieś inne trudności jeszcze, czy pojawiała się czasem jeszcze ubecja gdzieś w pana życiorysie?

**Stanisław Maślanka:** Nie, nie. Już mnie nie wzywano nigdzie, poza tymi dwoma napadami jak na bank, czy to nie ten sam, nie wzywano mnie na tym. Miałem spokój, tak że ja poszedłem na emeryturę, no, to też już coraz później. Przyszło głosowanie. Ja jestem pozbawiony głosowania, bo jestem zwolniony przedterminowo. Po połowie kary dali mi zwolnienie ze względu na zły stan zdrowia, zresztą słusznie. Ja mówię, no, prowokacja czy co, mam pójść, przypuszczalnie byłbym zagłosował, bo oni to przypuszczalnie, nie sprawdzili. Ja myślę, cholera, a jak sprawdzili, ja pójść zagłosować i znowuż mnie się czepią. Jesteś pozbawiony praw, z czego głosu... Przychodzili kilka razy. To mnie zawsze nie było. Pojechał do chorej matki, nie ma go. Jak wróci, zdąży wrócić na głosowanie, to przyjdzie. No, bo się bałem, bo to może być prowokacja, prawda? Więc, a to pozbawienie praw, to mi się skończyło, chyba po 10 latach wyjścia, czy coś, tak że tego. No i tutaj oczywiście zacząłem się spotykać z kolegami i tak jak mówiłem, jeden z kolegów, z Rawicza miał siostrę, poznałem, no, i tak się ożeniłem, i tak od tamtej pory żyję. Oczywiście sprawy konspiracyjne, czy jak je nazwać, związkowe, od samego początku, to jest 1981 roku, bodajże 31 stycznia, czy coś, było takie zebranie nas Wołyniaków. O co chodzi? 1981 rok to już była troszkę taka odwilż. I zgrupowania warszawskie, jak „Jerzyki” czy tam inne te wszystkie zgrupowania, zaczęły tak molestować tę władzę, że im pozwalali się organizować. No, jak im się pozwoli organizować, zebrało się kilku odważnych, którzy mieli trochę znajomości w tym ZBoWiD-zie. Tak zaczęli kręcić. Oczywiście to było wszystko w ramach ZBoWiD-u. Nie ma mowy, żeby tam jakoś tego. Wszystko za zezwoleniem ZBoWiD-u. I w końcu zezwolili nam, w 1981 roku pozwolili nam stworzyć coś w rodzaju takiego koła dwudziestej siódmej. No i od tamtej pory ja tak zacząłem bywać, i tak do końca tego roku. A przebieg tej pracy, no, to też można by dużo opowiadać.

**Anna Teresa Pietraszek:** A jaki był ten przebieg pracy?

**Stanisław Maślanka:** Proszę panią... Mówić tylko jedną stronę, to nie chcę. A mówić w obie strony nie mogę.

**Anna Teresa Pietraszek:** Dalej myśli pan, że nie można mówić?

**Stanisław Maślanka:** Proszę panią, to nie są sprawy polityczne. To sprawy międzyludzkie, więc wie pani, wszystko zależy, z jakimi się ludźmi współpracowało, co i jak było. To tylko z tego powodu. No, miałem takie różne, ale to ja tylko opowiem, co ja w ciągu tych 25 lat tam mniej więcej robiłem.

**Anna Teresa Pietraszek:** A na czym polegały takie największe problemy z tymi ludźmi?

**Stanisław Maślanka:** Ja jestem taki, który zawsze mówi prawdę i jak coś się dzieje nie tak, to ja zaraz wyskakuję. To mnie cięgle mówi, nie fikaj, nie podskakuj, siedź i przytakuj. No i w związku z tym, że wielu osobom się to tak nie podobało, z tych czy z innych względów, wie pani, to... No, ale jakoś dotrwałem. 25 zjazdów odbyłem, tak jak potrzeba. Ten ostatni już nie. Z dwóch przyczyn tam nie byłem. Z przyczyn zdrowotnych i z innych przyczyn też tam nie pojechałem.

**Anna Teresa Pietraszek:** Mówił pan, że tak bardzo nie lubi pan zimna.

**Stanisław Maślanka:** Zimna?

**Anna Teresa Pietraszek:** Mhm.

**Stanisław Maślanka:** Proszę pani, nie wiem dlaczego. Proszę panią, dlatego, że w więzieniu ja cały czas marzłem. Tak jak opowiadałem pani, że to spanie na tych podłogach, na cemencie przeważnie, a najgorszy to był Rawicz, gdzie ja spałem wprawdzie na odchylanym tym łóżku, bo to były pojedynki przed wojną, więc dla jednej osoby, która spała na łóżku, więc tam był siennik, więc ja się kładłem, ale niestety to była piwnica. Mimo że było lato, to było zimno. Poza tym, jak trafiłem do tej celi, po tym buncie śmierdzącego mięsa, gdzie mnie też tam dali, gdzie nie było takiej szyby A4 mniej więcej, te inne szybki były, ale wystarczy, jak jest duży mróz, wystarczy taka jedna. Mimo że nas tam sporo osób było. Ja już nie pamiętam, ile tych osób było. Też chyba sześć, a może mniej. Już ucieka mi to z pamięci, więc dlatego tak się...

**Anna Teresa Pietraszek:** Spał pan na betonie?

**Stanisław Maślanka:** Tak że to mi weszło w krew to zimno.

**Anna Teresa Pietraszek:** Ale spał na betonie, czy były jakieś sienniki, koce, poduszki?

**Stanisław Maślanka:** Gdzie był taki zły beton... Zły beton był w Łodzi, w Łodzi był zły beton. Później, jak przenieśli mnie do tej drugiej celi, to była podłoga, bo to był dobudowany taki, ale oczywiście tam był siennik, tak jak ja mówię, to w tym sienniku to właściwie ta słoma była tak starta, że to tylko pył był. Jak się wzięło tak za ten, na spodzie siennika to była taka ta, więc to tego, więc te wszystkie zimne te, to właśnie to wpłynęło.